Rozmaitości

Dnia 27. stycznia Nr 4. 1838 roku.

SALWADOR.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

Teraz dopiéro, gdy Salwador odjechał, odetchnęła pani Laudon swobodnie, i nie mała była jéj radość, że odzyskała wolność swoję. Wystąpiła znowu na wielkim świecie, z którego ją don Salwador przez tak długi czas był usunął, i nie troszcząc się bynajmniéj o los przyszły, nie strzegła się wchodzić w nowe miłosne związki. Wielu mężczyzn starało się o jéj miłość, ale serce jéj było już utrudzone, nie miała więc żadnego wybranego kochanka. Hiszpan pisywał do niéj ciągle najtkliwsze listy, a ciesząc się nadzieją, że ją zobaczy, wierzył jéj przyrzeczeniom i przysiędze; pani Laudon czytała i odpisywała mu na wszystkie jego listy.

Pośród tego osobliwszego sposobu życia nie mała troska zajmowała panią Laudon. Cały jéj majątek był po jéj mężu, który umiérając zapisał go dla niéj w puściznie. Od czasu śmierci męża używała tego majątku jako swojéj własności, od nikogo niezaprzeczonéj, i żyła w zupełném bezpieczeństwie; gdy oto za jednym razem siostrzeniec pana Laudon wytoczył proces przeciw temu testamentowi. Młoda wdówka nie ustraszyła się wprawdzie tém wyzwaniem, ale oburzyła się mocno na człowieka, który ją w proces zawikłać usiłował. Człowiek ten przybył z Mexyku, gdzie od kilku lat bawił; pani Laudon nie znała go osobiście i zaledwo o nazwisku jego słyszała. Jakkolwiek nie była chciwą zysku i owszém obojętną, co się dotycze stosunków pieniężnych, jednakże musiała się zająć tą sprawą, od któréj cała jéj posada zależała. Dla uniknienia obszérnych wywodów, znudzenia i wszelkich innych skutków z procesu wyniknąć mogących, postanowiła ofiarą kupić sobie spokój, dała swemu adwokatowi pełnomocnictwo wejścia z owym strasznym powinowatym w układy, i nie bez obawy oczekiwała skutku tego kroku.

»Jakże,« zapytała swojego adwokata, »czy widziałeś się wćpan z tym zacnym, który zubożyć mię zamyśla? Jestże jaki środek do porozumienia się z nim w téj mierze?«

»Bardzo wątpię; jestto bardzo zimny, bardzo spokojny i rozważny człowiek. On mniema, że wygra proces, ale się myli.«

»Nie nawidzę tego człowieka, i powiém mu to w oczy.«

»Jestto zadowolenie, które pani dzisiaj miéć możesz; on zamyśla odwidzieć panią.«

»Dobrze,« odrzekła, »pozna on co ja...« Nagle ucięła mowę i spojrzawszy w źwierciadło, w którém się jéj piękna twarz odbiła, rzekła: »Tak, pożałuje on, że rozpoczął ten proces. Powiedz mi wćpan jak téż ten pan Charlevanne wygląda?«

»Jak wszyscy inni. Nie dostrzegłem w nim nic osobliwszego, prócz szczególnego talentu wymowy. Jestto rzadki mowca; na dwugodzinną rozprawę odpowie czterma słowami. W ten sposób gotów dziesięciu adwokatom zamknąć usta.«

»Zobaczymy, czyli jednéj kobiécie dotrzyma pola,« rzekła pani Laudon, chytrze się uśmiéchnąwszy.

Nazajutrz Alfred de Charlevanne przedstawił się pani Laudon. Adwokat mylił się bardzo, utrzymując, że jest wszystkim innym podobny; i owszem, Charlevanne miał twarz, którą, raz ujrzawszy, nie łatwo się zapomina. Byłto mężczyzna około trzydziestu lat mający,

pięknego wzrostu i bardzo ogładnego wychowania. Blond włosy jego dawały rzadki blask bronzu; w oczach jego można było wyczytać niewymuszony rozum i stateczność, mówił zwolna i przekonywająco, a głos mowy jego miał w sobie coś pociągającego. Pani Laudon oczekiwała go uzbrojona; użyła wszystkich swoich uroczych podstępów, któremi dotąd wojując, zawsze zwycięztwo odniosła. Nigdy jeszcze nie była tak żywą, tak bez wszelkiéj przesady rozumem i wdziękami przyjemną. O smutnym procesie zaledwo pobieżnie nadmieniono. Obie strony mówiły o wszystkiém, tylko nie o przedmiocie, o który spór wiodły.

Od téj pierwszéj wizyty uczuła pani Laudon wzruszenie, które jéj sercem już nie raz miotało. Jéj spokojność zniknęła; wszystkie pochlebne, zwodnicze obrazy, ocknęły się; przy wspłonieniu nowéj miłości, odżyło jéj serce, równie jak się ożywia ziemia, która każdéj wiosny wiecznie się odmładza. W krótkim czasie poszły w niepamięć wszelkie przeszłości wspomnienia; z równą łatwością zapomniała Salwadora, jego poświęcenie się, wszystkie upłynione uciechy, boleści, i wszystkich kochanków. Tylko jedną jeszcze żyła nadzieją, jedném życzeniem: być od Alfreda Charlevanne kochaną. Do tego celu nie zaniedbała użyć środków, jakie tylko w jéj mocy były, rozwijać wszystkie swoje sposoby ujęcia i przymilenia, którym się jeszcze żaden nie oparł mężczyzna; zaczęła grać rolę namiętnie rozkochanéj, a nawet niekiedy sama w tę miłość wierzyła. Lecz tą razą z mistrzem bieglejszym miała do czynienia; pan Charlevanne był zawsze grzecznym, zalotnym, uprzejmym, ale i zupełnym panem swojego serca.

Ta obojętność sprawiła w pani Laudon jeszcze większą draźliwość uczucia i zażegła w niéj miłość tak niepokojną, iż się na końcu widziała istotnie nieszczęśliwą. Żyła z dnia na dzień w tęsknem oczekiwaniu pomyślnego skutku; kochała prawie bez nadziei, a jednak starała się wszystkiemi siłami ukryć to przed światem, ponieważ duma jéj nie pozwalała, aby kto dostrzegł jéj udręczenia. Mimo wrodzoną lekkomyślność swoję umiała utrzymać przybraną godność charakteru i byłaby raczéj śmierć przeniosła nad wyznanie swojéj słabości przed obojętnym człowiekiem, którego miłości zjednać sobie nie mogła. Odtąd nie myślała już o niczém jak tylko o rzadkich odwidzinach pana Charlevanne, nie zajmowała się niczém, jak tylko pisaniem długich listów, których on nigdy czytać nie miał; wszystkie jéj samotne chwile były łzami i dumaniem nad swoją nieszczęśliwą miłością opłacane; z cierpliwością znosiła udręczenie tego położenia i przestawała na czystéj sentymentalności, którą nieszczęśliwą miłość swoję uniewinniała, jak gdyby nigdy innego szczęścia nie znała. Wszelako pisywała czasami do Salwadora listy kłamliwe.

W takim stanie zostawała prawie przez dwa miesiące, aż Jérzy Wilson z swojéj podróży do Włoch powrócił.

»Moja najmilsza,« rzekł, ujrzawszy smutną i zapłakaną panią Laudon; »pojmuję ja twoje cierpienia. Azaliż biédny Salwador już nie powróci? Ja, na jego miejscu będąc, nie dałbym się niczém zatrzymać... Szczęśliwy człowiek, wiedząc, iż tak wiernie jest kochanym! Otożto miłość! Ależ przecie dla niéj ginąć nie trzeba.«

»Ach, nie mówmy o tém,« odrzekła pani Laudon z głębokiém westchnieniem; »jestem zaiste bardzo nieszczęśliwą!«

»Dobrze, nie będę już więcéj o nim mówił; widzę, iż go pani jeszcze zawsze kochasz. Jeżeli panią miłość ta udręcza, potrzeba, ażebyś podróż przedsięwzięła, to jest najlepszy sposób wypogodzenia serca i umysłu.«

Poczciwy Jérzy Wilson nie wglądał głębiéj w serce pani Laudon i litował się istotnie nad losem téj niewiasty, która bez żalów i narzekania więdła jako ofiara miłości i bolesnego rozstanku. W kilku słowach tylko nadmieniła o procesie, którego końca oczekiwała z zupełną obojętnością.

Jednego dnia, podobnież w celu pocieszenia swéj przyjaciółki, przyszedł Anglik; zastał ją z listem w ręku i sądził, że odebrała go od Salwadora.

Pani Laudon nie odrzekła bynajmniéj na jego powitanie i czytała z największą uwagą, poczém położywszy list na stoliku, przycisnęła go obiema złożonemi dłońmi. Widać było, iż jéj serce biło mocno; ale czy z radości, czy z umartwienia? Twarz jéj była blada, a rzęsiste łzy spadały po jéj licach; ale na ustach jéj spoczywał dumny, rozkoszny uśmiech.

»Mój Boże, cóż to znaczy?« zawołał Jérzy Wilson z ciekawością i trwogą.

»Oświadczenie,« odrzekła ozięble. »Wiadomy ci jest milordzie proces, od którego cały mój majątek zależy. Pan de Charlevanne oświadczył, iż ten proces załatwionym zostanie, jeżeli przyjmę jego rękę.«

»Do stu czartów! co za myśl!« zawoła lord Wilson całkiem zdziwiony.

»Moj proces jest bardzo niepewny,« odrzekła pani Laudon; »jestem prawie przekonana, że go przegram, a wtedy nic mi nie zostanie. Zamęzcie to powróci mi cały majątek; nié mam innego sposobu wydobycia się z tego smutnego położenia; poznaję, iż to jest wielką z mojéj strony ofiarą, lecz muszę się do niéj nakłonić...«

»Mój Boże! I któż teraz doniesie o tém Salwadorowi?«

»Wćpan, mój przyjacielu.«

»Ja! A to jakim sposobem?«

»Napisz mu istotną prawdę; powiédz, że mnie straszna konieczność do téj ofiary zniewala; że gdybym była bogatą, tylko on jeden byłby moim małżonkiem; ale teraz jestem ubogą, a powody delikatnego uczucia honoru... wćpan mnie rozumiész, kochany przyjacielu.«

»O, rozumiém, rozumiém bardzo dobrze,« odrzekł Wilson, podobnie jak zawsze, gdy wcale rzeczy jakiéj nie pojmował.

Działo się to jakoś w saméj połowie wielkiego postu. Na wesele przeznaczono przewodnią niedzielę po Wielkiéj Nocy. Pani Laudon zezwoliła bez wahania się na żądanie Alfreda, i z rozkoszą oczekiwała nierozerwanego związku, od którego wprzódy tyle razy się z wstrętem usuwała. Kochała z wszelkim zapałem wzmagającéj się namiętności, która żadnéj ulgi nie dozwala. Pan de Charlevanne, jako narzeczony, zachował się grzecznie i uprzejmie, ale téż i nic więcéj; starał się, ażeby go kochano, ale sam nie był bynajmniéj rozkochanym; żenił się jedynie z przyzwoitości, jedynie dla tego, że mu jego adwokat powiedział, iż na żaden inny sposób nie osiągnie pomyślnego skutku swego procesu.

Jednego ranka, na trzy lub cztéry dni przed weselem, przyszedł Jérzy Wilson przestraszony, pomieszany do pani Laudon i rzekł:

»Moja najdroższa, przychodzę do niéj z tą wiadomością, że Salwador przyjechał téj nocy. Widziałem go; nie rzekł do mnie i słowa; ale wiém z pewnością, że tu przyjdzie.«

»Mój Boże!« wykrzyknęła pani Laudon i pobladła na twarzy, »ja nie chcę się z nim widzieć.«

»On wpadnie przemocą, któż mu w tém przeszkodzi? Może już w téj chwili jest tutaj.«

»Nie znajdzie mię,« odrzekła zadzwoniwszy czém prędzéj; »kochany mój Jérzy, bądź mi pomocnym; zabawiaj go, nie opuszczaj go, a najszczególniéj ukrywaj przed nim miejsce mego pobytu. Wyjadę do C. Pan de Charlevanne przyjedzie za mną, gdyż tam odbędzie się nasze wesele. Uspokój Salwadora, powiédz mu, iż jeszcze raz z siebie ofiarę robię, niechaj o mnie zapomni i będzie szczęśliwym...«

W godzinę poźniéj napisawszy list do pana de Charlevanne, aby jeszcze w ten sam wieczór niezwłocznie do C. przybył, odjechała.

Wieczór był pogodny, księżyc zeszedł jasno nad lasem; łagodny wietrzyk szeleścił gęstym liściem lip na tarasie; pierwiosnki i fiołki rozdawały woń po gaiku; nic nie przerywało ciszy téj piękněj nocy; wiatr i woda spały.

Pani Laudon wyszła na ganek i oparłszy się o poręcz, oddała się słodkim marzeniom; ochłonęła już z trwogi, bo czekała na przybycie swego oblubieńca. Nigdy, nawet w najpiękniejszych dniach życia swego, w czasie piérwszéj swojéj miłości, nie doznawała tak rozkosznéj nadziei, tak miłego niepokoju i tak zupełnego szczęścia w swojém sercu, jak tą razą. Wszystko, co ją otaczało, wyglądało strojno, uroczyście i w zupełném przygotowaniu; gabinet jéj oświetlony był łagodnie; wszędzie stały wazony z wonnémi kwiaty; wszędzie, jakby od niechcenia, jakiś powab, i na pozór jakiś nieporządek; na dywanie kosztowny upominek weselny od pana de Charlevanne, a na stoliku książka do modlenia, z napisem nazwiska, które przybrać miała. Nagle daje się słyszeć tętent konia i obudza niespokojność w jéj sercu; spojrzała z radością wzdłuż alei; poczém weszła spieszno do gabinetu i położywszy rękę na klamce, stanęła w oczekiwaniu.

»To on,« rzekła, usłyszawszy na wschodach tupot kroków, »ach, to on niezawodnie!« Ale zanim jeszcze drzwi się otworzyły, już po chodzie poznała Salwadora i padła na kolana.

»Pani nie mnie oczekiwałaś,« rzekł Salwador, stanąwszy przed nią i założywszy na krzyż ramiona, a widząc ją, że omal nie zemdlała, dodał: »Czy pani się mnie lękasz?«

Pani Laudon podniosła oczy i usiłowała wytrzymać jego wytężone spojrzenie, a potém rzekła z pozorną odwagą: »Salwadorze, kogo wćpan szukasz w tém miejscu? Albożto nie znasz nieszczęścia, które nas rozłącza? Nié maszże żadnego nade mną politowania?«

»Politowania, nad wćpanią! nad wćpanią, któraś mnie oszukała?«

»Salwadorze, przysięgam, że nie!«

»Ach, wćpani przysięgasz w obecności przygotowań do swojego wesela. Oto klejnoty, w których masz iść do ślubu, oto książka, na któréj już przyszłe twe nazwisko wyryte: Liwia de Charlevanne! Dla czegożeś wćpani o swéj piérwszéj przysiędze zapomniała? dla czegożeś nie pamiętała na tę niewinną istotę, którą dla ciebie na śmierć poświęciłem?«

»Przebacz, przebacz, Salwadorze! Już dosyć ucierpiałam; oddal się!«

»O! ja nie przyszedłem po to, ażebym się tak prędko oddalił.«

Na te słowa uzbroiła się w dumę i odparła odważnie: »Mości panie, jestem tutaj bezbronną; wćpan korzystasz z mojéj samotności... Wyjdź wćpan natychmiast, jeżeli chcesz, abym go miała za człowieka honoru.«

»Dla zrobienia drugiemu miejsca, nie prawdaż?«

»Tak jest, on przyjdzie i bronić mnie będzie?«

»Ten, który wćpanią kocha, i którego nawzajem kochasz,« przerwał Hiszpan pobladły, wyjąwszy sztylet z zanadrza; »ten sam którego wćpani tak zwodzisz, jakeś mnie zwodziła. Ja temu wszystkiemu godny wćpani koniec położę; śmierć wćpani tak musi kłamać jak jéj całe życie kłamało...«

»Salwadorze, jeżeli jeszcze tylko krok postąpisz, natychmiast krzyknę o pomoc i zawołam służących...«

Salwador, nic nie odpowiedziawszy, przystąpił do stolika i napisał słów kilka: »Podpisz to wćpani,« rzekł, podając jéj pióro.

»Jako! nie przeczytawszy?« zawołała.

Salwador spojrzał okropnie; ona przybliżyła się do stolika i podpisała spieszno swe nazwisko; poczém spojrzawszy mocno w oczy Hiszpanowi, podniosła rękę ku oknu. W tém dał się słyszéć powóz jadący aleją.

»Alfredzie!« zawołała.

»O! już się z nim więcéj nie zobaczysz.« To rzekłszy utopił sztylet w jéj piersi; padła nie wymówiwszy i słowa; poczém téjże saméj broni użył przeciw sobie.

Pan de Charlevanne przybył razem z Wilsonem; zastali służących na wschodach, którzy słyszeli rozruch na górze, a żaden z nich nie ważył się wejść do pokoju.

Charlevanne i Wilson wszedłszy, ujrzeli dwa skrwawione przed stolikiem leżące trupy. Ramię Salwadora spoczywało na szyi Liwii. Papiér, leżący na książce do modlenia, zawiérał następujące wyrazy:

»Nie mogąc za życia być razem połączone»mi, umiéramy, by nas śmierć połączyła. »Ostatniém naszém życzeniem, aby nas pod »j e d n y m głazem i na tém samém pochowano »miejscu, które było świadkiem naszego szczę»ścia. Prosimy naszego przyjaciela Wilsona, »aby wykonał tę ostatnią wolę naszę.«

»O biédni kochankowie!« zawołał rozpłakany Anglik; »prawda, teraz na wieki połączeni jesteście! Wystawię wam spaniały grobowiec.«

Pan de Charlevanne, który z przestrachu i zadziwienia stał u progu, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Liwię, i wziąwszy książkę do modlenia, na któréj już imię jego wpisała, rzekł sam do siebie: »Serce kobiéty zawsze wieczną tajemnicą zostanie!«

Pomnik wystawiony przez lorda Wilsona dotąd zwodzi napisem przechodniów, dotąd jeszcze opowiada ogrodnik w żałobie, że pod nim spoczywają dwa najżywszą miłością spojone serca!

POSTĘPY ASTRONOMII W ROSSYI.

Z pisma czasowego petersburskiego: *Biblioteka dlia cztenija*, z miesiąca października 1837.

W zdaniu sprawy ministrowi narodowego oświécenia, o czynnościach gwiazdopatrzni dorpackiéj, przez naszego sławnego astronoma Struve podaném, znajdują się nader zajmujące szczegóły o trudach i odkryciach astronomicznych w Rossyi: »To co pod opieką J. W. Pana (mówi p. Struve) w ostatnich latach w względzie astronomii na Rusi, za pomocą szczodrych łask spaniałomyślnego Samowładcy

uskuteczniono, zdumiewa spółczesnych, i oni z podziwieniem wyznają, że historyja nauk nic podobnego nie wystawia. W Rossyi świta teraz najpiękniéjsza zorza; życzymy sobie, ażeby się stała zapowiedniczką jasnego dnia!«

Daléj przechodzi pan Struve cały szereg swych dwudziesto-letnich zatrudnień na dorpackiéj gwiazdopatrzni, gdzie on prawie wyłącznie podwójnémi zajmował się gwiazdami, osobliwie od owego czasu, gdy sławny teleskop Frauenhofera zakupionym został, który tysiąc siedmset razy powiększa przedmioty, i prawie sam przez się podwójne okazuje gwiazdy. Témto potężném narzędziem, i piérwéj jeszcze za pomocą dwóch innych pomiernych instrumentów Dokonda i Trautona, przeszedł p. Struve na niebie 120.000 wiadomych gwiazd, i oznaczył między niemi 3.110 podwójnych, między któremi 2.710 on sam osobiście odkrył. Nazwisko: *gwiazd podwójnych* jest tylko powszechne skrócone mianowanie nader niedostateczne. W poczcie tych podwójnych gwiazd znajduje się 68 potrójnych, a dwie takie, które przy postrzeżeniu przez ten ogromny dalowid okazują cztéry słońca, połączone między sobą ustawami jednego systematu; chociaż nieuzbrojonemu oku wydają się za jednę, pospolitą gwiazdę.

Wszystkie te postrzeżenia wyłuszczył pan Struve w obszérném dziele, którego wydanie przyjęła na swój szczot akademija nauk, które wszelakoż nie tak prędko na świat wyjdzie. Dowodzi w niém autor, że ustawy Niutona o ciężkości powszechnéj i temi odległémi władają światami; zniewolony był jednakże przyjąć dla podwójnych gwiazd nową klasyfikacyją, osnowaną podobnież, jak dawniejsza Herschelska, na odległości tych złożonych ciał niebieskich jednego od drugiego, i zawierającą w sobie zamiast czterech, osiem porządków. W piérwszym porządku umieścił p. Struve owe podwójne gwiazdy, między którémi rozległość nie przechodzi jednéj sekundy gradusa, w ostatnim owe, których odległość wzajemna do 24″ i do 32 sekund wynosi. Ta ostatnia odległość pomiędzy dwoma ciałami podwójnych gwiazd, z których jedna około drugiéj swój obrót odbywa, dostrzeżona była jeszcze Wilhelmem Herschlem.

Ze wszystkich dotąd znanych złożonych świateł niebieskich, najkrótszy peryjod obrotu zewnętrznéj gwiazdeczki na około drugiéj środkowéj, przedstawia gwiazda *Itta*, w Wieńcu Dziewicy; a najdłuższy gwiazda *Ni*, w téjże saméj konstelacyi. Piérwsza obiega swoję towarzyszkę w 43, a druga w 513 lat; podobném wszelakoż jest do prawdy, że są jeszcze krótsze peryjody, niżeli wymierzony dla gwiazdy *Itta*, w Wieńcu Dziewicy. W każdym wypadku trudno wstrzymać podziwienie, że dwa słońca mogą obracać się jedno około drugiego w krótszym czasie, niżeli Uranus zdoła obieżyć w okrąg naszego słońca; musimy domniemywać się, iż albo odległość między niemi jest mniejsza, niżeli między słońcem i Uranem, lub téż, że miąszość ich bez porównania ogromniejsza, niżeli naszego świata niebieskiego.

Słońca te bywają najrozmaitszych barw; często błyszczą oba białém światłem, a te są najliczniejsze; czasem środkowe czyli centralne wydaje się czerwoném, a zewnętrzne wpada w błękitny kolor; czasem zaś świeci i jedno i drugie czerwonym, błękitnym, żółtym, pomarańczowym lub zielonym płomieniem. Niektóre zmieniają kolor swego blasku, zmiany te zdarzają się peryjodycznie, co każe wnosić, że słońca te obracają się oraz i na swéj osi, a tak przy dalszych postępach *photometryi* (nauki o rozszérzeniu natężenia światła), odkrycie to może naprowadzić na ważne rezultaty.

Wiele, nader wiele pozostaje jeszcze odkrywać, śledzić i wymierzać na niebie, a spaniała główna gwiazdopatrznia, która teraz pod zręcznem zawodstwem A. P. Bruyłowa na Połkowéj górze, między Petersburgiem i Cesarskiém-Sełem się buduje, a któréj dyrekcyją p. Struve odbierze, bez wątpienia przeznaczona rozlać nowe światło na tajemnicze sklepienia niebios i oświécić nowym blaskiem ruskie astronomiczne prace. Przepyszny ten gmach szybko podnosi się, zbliża się ku wykończeniu, i będzie stanowić jeden z cudów Rusi. Mechanizm ogromnéj obracającéj się wieży, która jest ukończona, zasługuje na szczególniejsze podziwienie. Trzechletnie dziecko jedną rączką obróci całą tę olbrzymią, mocno i ze smakiem zbudowaną wieżę. Zakład ten, dzięki czyniąc światłym szczodrotom monarchi miłośnika wszystkiego, co jest pożytecznem, opatrzony będzie zbiorem najwyborniejszych

narzędzi, którym podobne w żadném europejskiém obserwatoryjum nie znajdują się. Ogromne summy, przeznaczone na zakupienie tychże w Mnichowie, Hamburgu, Londynie i Wiédniu, Połkowska gwiazdopatrznia, dostojna z jednéj strony ruskiéj ziemi, a z drugiéj lepszego nieba, będzie posiadać oprócz teleskopów, nie ustępujących piérwszeństwa Dorpackiemu, jeszcze i *dialita* Plesslo-Litrowskie, które teraz biorą piérwszeństwo potężnym instrumentom Frauenhoffera i jego zwolenników Ertela i Uzschnaydera. *D. Z.*

FILOZOFICZNE TAKTY ŻYCIA.

Z dzien: *Der Adler*.

Życie ludzkie z nie jedną rzeczą porównywano. Jeden mieni je być snem, z którego przebudzeniem godzina śmierci bije; drugi morzem niedorzeczności, których źródłem marność wielu starań człowieka; podług innych, jest nieuleczoną chorobą, na którą dotąd wszyscy ludzie pomarli, i którą tylko ci przeżyją, którzy nigdy na świat nie przyjdą; podług innych znowu, życie człowieka jest rolą na wielkiéj widowni, którą wielki Reżyser świata wydziela, i którą jeden dobrze, a drugi źle odgrywa, i dla tego jeden na pochwały, drugi na śmiech lub wygwizd wystawionym; innym znowu życie jest pielgrzymką do lepszéj i piękniejszéj ojczyzny; ziółkiem śmierci, które każdy koniecznie raz powąchać musi; lub niestałém latem, w którém razem pogoda, grzmoty, zasiéw, plon, żniwo, kwiat, owoc i zniszczenie na przemiany; lub twardym orzechem, który, chcąc się dostać do jądra, każdy sam zgryść musi; lub jajkiem, po którego rozbiciu dopiéro się do białka prawdy przychodzi; lub maskowym balem, na którym, śród zawiłego natłoku, jedno za drugiém goni, szczypie się i drażni, a samo nie wié dla czego; lub ową mgłą, po któréj opadnieniu dopiéro nam się pochodnia pewności rozświeca; lub owym niedocieczonym korabiem, którym los i w niebo i w przepaść miota, aż pokąd raz w ostoję prawdy nie zawinie, a w którym człowiek żądzami żagle rozdyma, nadzieją kotwicę zarzuca, a który niewidomy Stérnik prowadzi!.

Chcąc wesoło i z rozumem życia użyć, należy ściśle dla każdego wieku przeznaczony takt zachować.

Od kolébki aż do lat czternastu życie ludzkie podobne do życia roślinnego; człowiek żyje, aby jadł, pił i spał; żyje, lecz nie wié, dla czego żyje.

Od lat czternastu zaczyna przecież się rozwijać w nim pączek życia; człowiek, który jest, poznaje, dla czego jest; ziemia zdaje mu się być odblaskiem raju; chciałby całe człowieczeństwo przytulić do swego serca, bo jeszcze nie jadł gorzkiego owocu doświadczenia, bo jeszcze nie wié, co zawiść, zazdrość, zemsta, kłamstwo, oszczérstwo, nienawiść, obłuda, i te wszystkie piekielne przywary; chętnie wierzy doświadczeniu starszych lub wyższych, bez wszelkiego oględu.

W roku dwudziestym cisną się przemożnie z pełnéj, młodzieńczéj piersi tajemnicze uczucia miłości; w obec innéj płci przeczuwa człowiek piękniejsze, słodsze rozkosze tego świata, rumieni się w obec kochanego przedmiotu; za zbliżeniem się jego roziskrza się mu oko, twarz gore, usta płoną, piérś wzdyma się i bije tętnem najsłodszego uczucia. Człowiek podejmuje wszystko dla kochanego przedmiotu, umié usuwać wszelkie zawady, i gotów zań poświęcić swe życie; widzi świat tylko z jego dobréj, różanéj strony, i nie czuje kolców, które częstokroć bolesne zadają mu rany.

W roku trzydziestym rozum, męzka siła, powaga biorą górę; człowiek obeznany już poczęści ze światem, wpisuje nie jedno doświadczenie do pamiętnika swojéj filozofii praktycznéj i nie zważając na połysk złudnéj powierzchowności, szuka tego, co trwalsze, treściwsze. Żeni się i wprowadza rozum do domu.

W roku czterdziestym, jako kulminacyjnym, używa człowiek życia w samowłastném uznaniu swobodnie i spokojnie; burze miłości już przeminęły; na ich miejsce weszła rozwaga; człowiek oblicza wszystko dla przyszłości, aby w roku pięćdziesiątym, gdy już szron na jego głowie osiędzie, w cichéj samotności używać mógł owoców swojéj pracy.

W roku sześćdziesiątym i siedmdziesiątym uzbiérał już ogromny zapas doświadczenia dla swych dzieci i wnuków. Jak w latach młodzieńczych przed każdym otwiérał swoje serce, tak teraz znowu przed każdym je zamyka, i rzadko komu zaglądnąć w nie pozwala; staje się podejrzliwym, na swowolę młodzieży surowym, gani wszystkie jéj czyny popędliwie, staje się przykrym, oziębłym, aż dopokąd nie wejdzie do cichéj, spokojnéj izdebki, za którą już utęsknia.

Dla tego chceszli wesoło życia użyć, zachowajże zawsze takt przynależny:

Rok pietnasty — *amoroso!*
Zrywaj kwiaty w życia drodze;
Rok dwudziesty — *allegro molto!*
Bez *pauz* śpiéwaj, puszczaj wodze;
Lecz w trzydziestym — *sostenuto!*
Już kwiat gaśnie, już więdnieje;
Rok czterdziesty — *ritardando!*
Lato mija, jesień wieje;
W pięćdziesiątym — *tace, tace!*
Zima! Rozstań się z nadzieją;
Choć zaśpiéwasz — *doloroso!*
Wirtuozy cię wyśmieją;

Spiew miłosny nudzi — *solo!*
Bo wzajemność, słodycz z nieba;
Lecz w duecie — *sotto voce!*
Na *da capo* pomnieć trzeba;
Wzdychać można — *expressivo!*
Lecz w życzeniach — *moderato,*
Śród rozkoszy — *piano, piano!*
Presto mijaj, co z twą stratą!

— Ze Lwowa. —

Nakładem tutejszej księgarni B. Jabłońskiego wyszły, drukowane w Pradze czeskiej u Jana Spurnego: *Poezyje Józefa Bohdana Zaleskiego,* z popiersiem autora. (Str. 140.) Miłośnik utworów tego znakomitego poety znajdzie tu zebrane razem wszystkie prawie dotąd po pismach czasowych i noworocznikach rozbłąkane płody jego: *Rusałki, Rapsod rycerski, Dumy:* o *Mazepie, hetmanie Kosińskim* i t. d. Wydawca robi czytającej publiczności wielką przysługę tym zbiorem, ileże niektóre z umieszczonych tu płodów były przez swoję rzadkość trudnemi prawie do dostania.

Między nowo wyszłemi muzycznemi płodami czytamy z przyjemnością imię Natalii Lipińskiej, córki sławnego Karola, która wydała: *Deux mazurcs pour le Pianoforte,* i przypisała znakomitemu kompozytorowi nowéj, niech tak rzekę, romantycznéj szkoły, panu Chopin.

Pracujący usilnie dla sceny polskiej w Warszawie p. Jasiński, napisał znowu oryginalnie jedno-aktową komedyję: *Jedna chwila,* którą przedstawianą ostatniemi czasy na teatrze warszawskim z upodobaniem widziano.

W Petersburgu ma być wkrótce wystawioną nowa opera rossyjska. Text do niéj napisał poeta Łaszkin, a muzyka ma być utworem pewnego wielkiéj nadziei Litwina. Pisma publiczne, z których tę wiadomość wyjmujemy, nie podają nam ani tytułu opery, ani nazwiska jéj kompozytora.

W N. 4. r. b. pisma praskiego: *Ost und West,* zaczął się długi pochwalny artykuł o dziele pana K. W. Wojcickiego: »Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi. (Warszawa r. 1837.)«

Literatura Sławiańska. W drukarni biskupiéj na Czarnéjgórze (Montenegro) wydano nie dawno zbiór poezyj w narzeczu Sławian tamtejszych, pod tytułem: *Pustelnik w Cetyni.* Autorem tych poezyj mienią biskupa Czarnogórców, Negusa Petrowicza.

Nowa opera p. Scribe. Nowa opera we 3ch aktach: *Le domino noir,* napisana przez p. Scribe, z muzyką Aubera, miała niezmiernie podobać się w Paryżu. Jak treść tak i muzykę równie chwalą.

Nowy teatr. W Kararze budują nowy teatr, a co większa, zupełnie z najpiękniejszego kararyjskiego marmuru.

Najcelniejszy obraz Rubensa. Miłośnicy kunsztu podziwiali ostatniemi czasy w Paryżu jeden z najpiękniejszych obrazów Rubensa, mianowicie złożenie Chrystusa Pana do grobu, który miastu Combrai przynależy, i do Paryża dla odnowienia był przesłany. Obraz ten należy do największych dzieł tego nieśmiertelnego mistrza i dla tego tylko w blejtramie był przedstawiony.

Koloseum rzymskie. Donoszą z Rzymu, iż do Paryża posłano przedmiot godny wielkiéj uwagi uczonych i artystów, który zapewne w krótkim czasie wystawionym będzie na widok publiczny. Jestto model rzymskiego koloseum, mający 35 stóp w obwodzie i przedstawiający ten ogromny gmach w téj postaci, w któréj go niegdy cesarz Tytus dla rzymskiego ludu otworzył. Dzieło to, nad którém bez ustanku dwadzieścia i dwa lat pracowano, zamówione było przez Napoleona u biegłego architekty w Rzymie, nazwiskiem Karolo Lucangelli, który na samych rysunkach i odrysach przedsięwziętych w tym celu lat dwa strawił. Akademija San-Luca potwierdziła dokładność wykonanego dzieła, tak co się dotycze składu, jakoteż proporcyi i ostatniego wykończenia.

Cześć Monarsze. Podczas obchodu uroczystości czterdziesto-letniego panowania Króla Pruskiego, ofiarowano temuż puhar srebrny, wyrobiony z samych talarów, bitych od czasu jego na tron wstąpienia.

Liberalizm amerykański. Ileżto nie marzymy i nie wystawiamy sobie pięknych rzeczy o Ameryce, o tym obiecanym kraju, do którego tak wielu wzdycha, o tym Eldoradzie dla głów ograniczonych, o téj świętéj ziemi wolności, gdzie wszystkie prawa ludzkości są uświęcone. Ażali z temi marzeniami i przesadnemi pochwałami zgadza się następujące uwiadomienie, zamieszczone w dzienniku *Spectator*, pod dniem 2. grudnia z. r., niechaj czytelnik sam osądzi: »Dwieście dolarów nagrody! Z domu niżéj podpisanego umknął przed trzema laty Murzyn, nazwiskiem Benjamin, pospolicie Ben czyli lis zwany, mający od pięciu do sześciu stóp wysokości, mocną budowę ciała, i ślepy na jedno oko. Podobnież z téj saméj plantacyi zbiegł także drugi Murzyn, wysokiego, smukłego wzrostu, mający niezmiernie czarną płeć i bardzo wywrócone wargi. Za każdego z tych dwóch Murzynów, kto mi ich powróci, wyznaczam nagrodę sto dolarów; podobną nagrodę także, jeżli takowy oddany będzie do więzienia w Lenoir lub Jones-County, albo kto go trupem położy. Jednakże w ostatnim przypadku powinienem sam być przy zabyciu jego. Przestrzega się więc niniejszém pp. kapitanów i wszystkie inne osoby, aby rzeczonym Murzynom pod karą ustaw krajowych nie dawali u siebie ani schronienia, ani zarobku. W. D. Cobb.«

Nadzorca klejnotów książęcych. Pewne towarzystwo gości oglądało jednego razu książęcy zbiór klejnotów w skarbcu. Po skończonem zwidzeniu nadzorca oprowadzający prosił gości, aby nim wyjdą, na chwilkę zatrzymali się w przedpokoju, i niebawem przyniósł półmisek z pszennémi otrębami. Potém prosił najgrzeczniéj towarzystwo, aby sobie w tych otrębach umyło ręce. Goście zdziwili się i zapytali z uśmiechem, coby właściwie ten postępek oznaczał. »Jestto stary zwyczaj,« odrzekł grzeczny nadzorca, »już od dawnych czasów w książęcym skarbcu zaprowadzony, a to z okoliczności następującéj: Pewnego razu znajdowały się w tym skarbcu znakomite osoby dla oglądania w nim klejnotów. Jednéj młodéj pani, która sądziła, że na nią nikt nie zważa, podobał się bardzo kosztowny pierścień tak dalece, iż go sobie potajemnie przyswoiła. Ówczesny nadzorca tego skarbcu nie chcąc wystawić na niesławę téj młodéj pani, przyniósł półmisek z otrębami, i oświadczywszy gościom, że mycie rąk otrębami jest w tym skarbcu dawnym zwyczajem, podawał półmisek do mycia każdemu gościowi po kolei, aż na samym ostatku dama, zrozumiawszy myśl nadzorcy, i myjąc sobie ręce, puściła pierścień w otręby. Tym sposobem ocalonemi zostały i pierścień książęcy i sława młodéj pani i posada dozorcy, którąby był utracił.« Goście ucieszyli się powszechnie tak grzecznym i ochraniającym postępkiem byłego nadzorcy i śród śmiechu i żartu myli sobie w otrębach ręce. Jednéj młodéj damie podano półmisek na ostatku. I ona podobnież umyła sobie swoje różane palce. Ale w okamgnieniu rumieniec jak szkarłat wyrósł na jéj licu, nieznacznie zaczęły drżéć jéj usta i białe rączki. Lecz nikt z gości nie dostrzegł téj nagłéj

zmiany w twarzy powabnéj damy. Jeden tylko nadzorca, odprowadzając do drzwi gości, czytał w spojrzeniu jéj zawstydzenie i podziękę za obejście się delikatne. Powróciwszy do skarbcu pośpieszył natychmiast do półmiska i znalazł w nim koronny pierścień, nieocenionéj wartości, który tą razą swym przebiegiem szczęśliwie uratował. Od tego czasu spaniałe klejnoty tego skarbcu pokazywane bywają gościom w sklannéj skrzyni.

Montecchi i Capuleti. Montecchi i Capuleti mają jeszcze zamki, obok których idzie gościniec między Wicenzą a Weroną. Członkowie piérwszéj rodziny żyją teraz w ubogim stanie, w poblizkości swych zamków w mieście Wincenza, pod imieniem Traversi; lecz Capuleti są jeszcze familiją zamożną, i mieszkają w swoich zamkach Montobello i Bonifacio, pod nazwą hrabiów Bonifacio.

Rodowód koni arabskich. Wiadomo, że pięć głównych rodzin koni arabskich, pochodzi od pięciu klacz Mohameta, zowią się one *el komb* i znane są także pod nazwą *Nedjede*, ponieważ z tego kraju pochodzą. Równie inne okolice Wschodu wydają dzielne konie; egipskie są ogniste i rącze; kraina Jemen-Hedjas w Arabii dostarcza pięknych biegunów; lecz nad wszystkie wynoszą Arabowie swych *nedjedów*. Każdy koń téj rasy powinien mieć świadectwo rodowodowe, ułożone w sposobie następującym: »W imię wszechmocnego, miłosiernego Boga, od niego wypływa wszelka łaska! Prorok mówi: Nigdy nie zgromadzi się mój lud dla popełnienia niesprawiedliwości! Przeto niżéj podpisani poświadczamy i przysięgamy na nasz pas i naszę przyszłość, że koń *Azrag* (siwosz) ma cztery lata, zrodzony jest z klaczy *nedjedy* i perskiego ogiera i łączy w sobie przymioty owych nieocenionych rumaków, o których mówi prorok: »Pierś ich jest skarbem, a grzbiet ich siedliskiem honoru.« Stosownie do tego wydaliśmy to zaświadczenie. Z resztą Bóg jest najlepszym świadkiem.«

Drama w powozie. (Scena w Paryżu.) »Woźnico! Najmuję cię na godzinę.« — »Dobrze panie.« — Młody mężczyzna wskoczył na stopień i wsiadł lekko do doroszki. — »Dokądże mam jechać?« — »Najprzód na ulicę *du Temple* nr. 33.« — Zdziwiło to woźnicę, jednakże zaciął biczem konie i jechał tak pomału jak za zwyczaj jadą wszystkie fijakry na godzinę płatne. — »Poganiajże cokolwiek prędzéj mój staruszku, nie mam czasu.«— Woźnica zaczął trzaskać batogiem. Nareszcie przyjeżdzają na ulicę *du Temple* i stają przed domem numer 33. Młody mężczyzna wyskakuje z powozu i rozmawia z burgrabią; ale wkrótce powraca, a na twarzy jego maluje się jakieś wewnętrzne wzruszenie. »Nieznany jest w tem miejscu?« rzekł sam do siebie, »gdzież ja się o nim dowiem. Może u starego Lendry, jeżeli jeszcze żyje. Woźnico, jedź na ulicę *de la Sourdière* numer 4.« — »Dobrze, mój panie.« — Stary woźnica zaczyna sobie coś przypominać, wszelako nawraca powóz i jedzie na ulicę *de la Sourdière*, będącą w drugim końcu Paryża, zkąd właśnie przyjechali. Przybywają, młody człowiek wysiada i bieżąc po starych wschodach, przeskakuje je prawie; lecz niebawem powraca z zasępioną twarzą. »Umarł więc!« mówi do siebie, wsiadłszy znowu do powozu; »on był jego najszczerszym przyjacielem! Do kogoż udać się teraz? Może będzie wiedzieć owa stara Ludwika; sprobujmy. Woźnico, jedź na ulicę *du Colombier* na przedmieście St. Germain.« — »Dobrze panie! Nuże żywo; Rusz się siwoszu!« Jadą znowu przez pół godziny na drugi brzeg Sekwany. Któż jest ten młody człowiek? zkąd przybywa i kogo szuka z tak wielką usilnością? Wnet się dowiedzą czytelnicy: Z końcem r. 1827, a zatém właśnie przed dziesięcią laty, młody próżniak, trzymany w domu w wielkim rygorze, opuścił swego ojca, który był kupcem zbankrutowanym, i mieszkał bardzo skromnie na czwartém piętrze przy ulicy *du Temple*. Był on wdowcem i nie miał nikogo prócz Alfreda, który miał być pociechą jego starości. Lecz młody Alfred, nie chcący się kierować podług woli swojego ojca, zebrał sobie przebiegiem niejaką sumkę, wsiadł na okręt i popłynął do Ameryki. W tym kraju ujrzał się Alfred niebawem ze wszystkiego ogołoconym; zaczął więc zastanawiać się nad swoim losem, a skutkiem tego było, iż się rzucił do pracy, a praca przyniosła mu sowitą nagrodę. Kilkanaście razy pisał do swego ojca, lecz ten każdą razą odsyłał mu listy nierozpieczętowane. Starsy ludzie są częstokroć niezmiernie upartymi; nie raz bowiem zdarzało się, iż stary ojciec Alfreda nie miał ani szeląga w domu na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb, wszelako i wtedy odsyłał listy, które z banknotami od Alfreda przybyły. — Lecz wróćmy teraz do r. 1837. W ulicy *du Colombier* stanęła doroszka przed okopconą chatą jednéj starej kobiéty, trudniącej się sprzedażą węgli. Młody człowiek wyskakuje z powozu i wszedłszy do chaty, pyta: »Czy nie mieszka tu stara, otyła Ludwika?« Wyszedłszy mówi do siebie: »Przeklęta rzecz! już nie trudni się tym handlem. Trzeba więc udać się do policyi, i to będzie najkrótsza droga. Woźnico, do prefektury policyi, ku ulicy Jerozolimskiej.«— »Dobrze, panie!«. I znowu jadą aż na drugi koniec Paryża. Młody człowiek, widocznie wzruszony, wchodzi do biura. Po kilku chwilach powraca spiesznym krokiem, ale smutek powlekł twarz jego. »Jedź spieszno woźnico ku ulicy *St. Honoré*, do Galpina, który wynajmuje powozy!« — »Wszakto jest mój pan!« — »Twój pan? a znaszże woźnicę nr. 140?« — »Wszakto mój numer.« — Jako? przez Boga! tyżeś... ty ojcem moim!« Tu nastąpiła rozrzewniająca scena, pośród ulicy w doroszce. Ojciec i syn nie poznawszy się, jeździli razem przez kilka godzin jednym powozem. Starzec rozpłakał się z radości i przebaczył wszystko synowi. Ale tylko z wielką trudnością wymógł na nim Alfred, że porzucił swój zawód zarobkowy.

Chodzące nauki. Młodzik, który edukacyją w domu od nauczycieli odebrał, zapytany do których szkół chodził pobiérać nauki? »Dzięki rodzicom, nauki do mnie same przychodziły;« odpowiedział.

Zemsta pożądana. Nie dawno umarła bogata pani. W czasie choroby jéj niepokoił i dręczył ją niezmiernie pewien, na przeciw niéj mieszkający młodzieniec, który się uczył grać na waltorni. Przed swoją śmiercią przysięgła, iż téj szkaradnéj muzyce na zawsze koniec położy. Nie można było domyśleć się, jakim sposobem tego dokaże. Po śmierci jéj dowiedziano się, iż dziesięć tysięcy złr. srébrem zapisała w testamencie naprzykrzonemu muzykantowi w sąsiedztwie, pod warunkiem, aby przestał grać na waltorni, w razie przeciwnym zaś summa ta miała spaść na fundusz ubogich. Biedny młodzieniec uszczęśliwiony tym zapisem, wyrzucił natychmiast za okno i waltornią i nóty. A sąsiedztwo od tego czasu miało spokój.

Smutek za pieniądze. W jednem mieście Rzeszy niemieckiej było dawnym zwyczajem, że umarłym do grobu towarzyszyli płaczkowie, którzy za to byli płatnymi, iż idąc przy trumnie głośno żale rozwodzili. Jeden z takichże zwolenników, który się szczególniej tym zarobkiem trudnił, przyszedł pewnego razu do swojego kolegi i rzekł: »Bądź tak dobrym i zastąp mię dzisiaj przy zmarłym kupcu X.« — »A dla czegoż ty sam nie chcesz iść przy jego trumnie?« — »Dla czego? Bo dziś na żaden sposob płakać nie mogę. Przeszłéj nocy umarła mi moja żona.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*